

Piotr Łazowski

Pionierskie wspomnienia : pamięci Jerzego Doczyńskiego

Nadwarciański Rocznik Historyczno-Archiwalny nr 13, 345-349

2006

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach
dozwolonego użytku.

Piotr Łazowski
Gorzów

Pionierskie wspomnienia. Pamięci Jerzego Doczyńskiego*

Był moim serdecznym kolegą. Pochodziliśmy z jednego miasta – Żyrardowa, gdzie ojciec Jurka miał zakład fryzjerski. Jurek miał jednego brata Władka, około 2 lata młodszego. Był przeciwieństwem Jurka. Rosły, silny, zdrowy, Jurek zaś wysoki, chudy jak szkielet, ciągle miał problemy zdrowotne.

Był taki czas (za okupacji), że byłem bardzo częstym gościem domu p. Doczyńskich. Chodziliśmy z Władkiem po drzewo do niedalekiego lasu (aby było czym palić), po węgiel na tory kolejowe. Mama Jurka dla trzech głodomorów (jak nas nazywała) szykowała, gdy było i jak było co do jedzenia, przeważnie w lecie wielkie półmiski pomidorów z cebulą i ogórkami oraz małe kawałki chleba. Jurek miał skrzypce, na których grywał. Nie był mistrzem, ale potrafił zagrać.

Należał do naszej paczki, którą stanowili: Paweł skrzypek amator (z zamiłowania naprawiał skrzypce), też potrafił wyczarować melodię; Mietek, wysiedlony z Warszawy skończył konserwatorium; Mietek, którego przywiozłem do Gorzowa (wraz z rodziną), uczył potem w szkole muzycznej (klasa skrzypiec); Janek zegarmistrz (posiadał zakład zegarmistrzowski w Żyrardowie) oraz Ja.

Wieczorami oni grali dla ducha, a my z Jankiem organizowaliśmy coś dla ciała. Mama Pawła przy naszej pomocy szykowała pokarm przy dźwiękach skrzypiec. Było swojsko, przytulnie i wesoło. Zwłaszcza Jurek z niezliczoną ilością kawałów i swoistym humorem potrafił wprowadzić wesoły nastrój, nawet wówczas gdy z powodu ogólnej sytuacji płakać się chciało. Blask karbidówki, mama Pawła krzątająca się przy posiłku, a oni grali i grali. Człowiek zapominał o czasie (okupacja, godzina policyjna, zima za oknem) i o tym, że wychodząc z domu, nie wiedział, czy i kiedy wróci.

Przekonałem się o tym, gdy pewnego lutowego wieczoru wpadłem w ręce gestapo i po pobycie w więzieniu w Grodzisku i obozie karnym (w Malszycach?) k. Łowicza po przeszło 12 tygodniach (byłem jako zakładnik) wróciłem do domu. Koledzy włączyli się do komitetu organizacyjnego i wysyłali dla mnie paczki żywnościowe. Wtedy z Żyrardowa Niemcy wzięli 20 zakładników jako zabezpieczenie przed wysadzeniem pociągów.

Był taki okres (pod koniec wojny), że Niemcy brali ludzi do kopania rowów przeciwczołgowych. Chodziliśmy z Jurkiem (często z Władkiem) za siebie, nieraz za starych sąsiadów, którzy prosili. Dostawał człowiek odcinek 4 metry i kopał. Byliśmy młodzi, stosunkowo silni. Odcinki swoje ja z Władkiem (o ile nie trafiało się na twarde podłoże) wykonywaliśmy pierwsi i po pomocy Jurkowi szliśmy pomagać starszym, słabszym.

* Jerzy Doczyński, dziennikarz, pionier gorzowskiej prasy, b. radny (ur. 29 III 1925, Żyrardów, zm. (?) 5 XI 2000, Zielona Góra); od 1945 w Gorzowie, gdzie wstąpił do Straży Obywatelskiej, w 1949 został praktykantem w gorzowskim oddziale „Gazety Poznańskiej”, w l. 1952–1971 był pracownikiem, a następnie kierownikiem oddziału „Gazety Zielonogórskiej” w Gorzowie, w latach 1972–1990 sekretarz redakcji „Gazety Lubuskiej” w Zielonej Górze; radny MRN w Gorzowie (1958–1970); pochowany w Poznaniu (informacje uzyskane od Jerzego Zysnarskiego – red.).

Jurek zawsze miał jakieś problemy, a my mówiliśmy, że ma 2 lewe ręce do roboty. Ale za to do innych rzeczy to miał głowę. To częste chodzenie na okopy (wykopki jak je nazywaliśmy) zaowocowało ułożoną przez Jurka piosenką. Na melodię *Na barykady Ludu Robotczy* śpiewaliśmy:

*Hej na okopy posuwać chłopy.
Każdy ma z sobą swój szpadel brać.
Kto nie pracuje, ten nie poczuje, co to jest okop, psia jego mać.
Szpadel chwyć – w okop skacz.
Zimno ci, więc klnij i kop, i płacz.
Trzecia już – palto włóż.
Szpadel bierz – do domu prędko spiesz.*

Nuciliśmy pod nosem, idąc do domu (po odnotowaniu obecności i pracy przez grupowego).

I tak zastało nas wyzwolenie. Przyszło nagle, w mroźny styczniowy dzień Żyrardów został wyzwolony. Nie było fabryki w okolicach i Żyrardowie zniszczenie, Warszawa spalona. Postanowiliśmy z Jurkiem wybrać się na Zachód za chlebem, pracą i mieszkaniem. Rodzice Jurka początkowo byli przeciwni, zwłaszcza mama z uwagi na propagandę szeptaną, która głosiła, że ziemie te wrócą do Niemiec. Ogromnie zniszczony kraj, ruiny, a tu jeszcze premier Churchill przedstawiał swoje wątpliwości: „Czy Polacy potrafią zagospodarować przyznane im w Jałcie ziemie?”. Apele władz wzywały do wyjazdu, do zagospodarowania tych ziem - na miejscu nie było gdzie i co robić. Ruszyliśmy na Zachód.



W środku stoi Jerzy Doczyński (lata 60.) (Zdjęcie ze zbiorów autora)

Mijając w drodze na Zachód bazę w Poznaniu, zatrzymaliśmy się tu (jazda do Poznania na dachu pociągu trwała 20 godzin przez Łódź, Ostrów) po odświeżeniu, wypoczynku i zaprowiantowaniu ruszyliśmy dalej na Zachód. Pierwszy etap Poznań-Krzyż bez przygód. W opustoszałym Krzyżu zgłosiliśmy się w PUR-ze z chęcią osiedlenia i pracy. Powiedziano nam: Pracy jeszcze nie ma, a osiedlić się proszę, możecie brać którykolwiek z tych domków (cała kolonia domków stała pusta). Przenocowaliśmy w dużej pustej szkole (Hermann Göring Schule). Na drugi dzień powiedzieliśmy w PUR:

- My jesteśmy chłopaki z miasta, a tu dookoła pusto i głucho.
- Macie skierowanie do Gorzowa, to duże miasto z przyszłością.

Wsiedliśmy do pociągu relacji Krzyż – Küstrin, w którym jechali repatriowani Niemcy. Był piękny słoneczny dzień, druga połowa czerwca. Mijaliśmy jakieś stacyjki z niemieckimi nazwami. Jurek miał lepiej ode mnie opanowany język niemiecki. Pytał się: „Wo ist Gorzów?“, odpowiadali „Weis ich nicht“. I tak całą drogę. Wreszcie na horyzoncie ukazała się jakaś miejscowość (Karnin?). Jurek pyta „Das ist Gorzów? – Nein, Landsberg“. Zbliżaliśmy się do stacji. Wiesz – powiedziałem do Jurka – chromołem ten Gorzów, wysiadam w Landsbergu. Wsiedliśmy. Na peronie wielkimi blokowymi literami witał nas Gorzów.

Pierwsze kroki przez spaloną stację skierowaliśmy do PUR-u, który umieścił się na rogu Kosynierów Gdwińskich i Borowskiego, gdzie po zarejestrowaniu powiedziano nam, szukajcie pracy i mieszkania. Ruszyliśmy na miasto, wszędzie pełno Niemców, a my, idąc rozmawialiśmy po polsku. Wtem idący młody człowiek zawołał: Panowie Polacy! Tak. Normalne pytania: Skąd?, dokąd?, co chcecie robić? – Obojętnie, aby było co jeść i dach nad głową. – Chodźcie do milicji, potrzebują, są obiady i noclegi. Na ulicy Obotryckiej w komisariacie, po rutynowych pytaniach, komendant Tadeusz (Suszko?) kazał wydać nam broń i opaski oraz skierował do stołówki i wysłał na patrol na ulice. Przed północą zmęczeni i głodni wróciliśmy na komisariat i do łóżek.

Następnego dnia śniadanie i patrol do i po obiedzie, zadanie pilnowania spokoju i porządku. A było czego pilnować. Najmniejsze zagrożenie stanowili Niemcy. Byli wystraszeni i spokojni. Ale rzesze szabrowników i pełno wąsających się rannych żołnierzy (w piżamach) sowieckich, którzy wchodzili wszędzie, to było zagrożenie.

Po kilku dniach rozpoczęła się akcja wysiedlania. Braliśmy z Jurkiem w niej udział, mieliśmy przydzieloną ulicę Mickiewicza. Nie będę opisywał samej akcji wysiedlania, zrobili to inni. Ja osobiście (w duszy) buntowałem się na bardzo delikatny sposób obchodzenia się z wysiedlonymi (taki był rozkaz). Miałem przecież przed oczyma obraz Polaków wysiedlanych z poznańskiego w lutym 1940 r. w 25-stopniowym mrozie na odkrytych chłopskich wozach, przywieziono wysiedlonych. Całe rodziny z małymi dziećmi wyrzucono na śnieg. Chłopi odjechali, a oni zmarznięci czekali na litość ludzką. W stosunkowo krótkim czasie okoliczni mieszkańcy zabrali ich do domów. A tutaj! W piękny słoneczny dzień wysiedleni zabierali na wózki, co chcieli. Nikt nie kontrolował bagażu. Oficjalnie mogli zabrać 20 kg. Ustawione kolumny szły na dworzec, gdzie czekały wagony, kuchnie, punkty sanitarne.

Zachowanie Jurka: Wchodziliśmy do mieszkania. Jurek mówił „sakramentalną formułkę” i czekaliśmy. Niemcy o wysiedlaniu wiedzieli. Byli spakowani i przygotowani. I tak od mieszkania do mieszkania a potem sprawdzanie.

W jednym z mieszkań poczuliśmy zapach pieczonego mięsa. Podnoszę pokrywkę potężnego gara, a tam olbrzymia pieczeń z przyprawami szykowana na drogę. Jurek pyta Niemki, czy możemy ukroić po kawałku, bo jesteśmy głodni. Mówił prawdę. „Bitte” – odpowiedziała Niemka. We mnie coś się zagotowało, spojrzałem na Jurka wzrokiem, który

mógł mu zrobić krzywdę. Bez słowa odsunąłem go od gazu, wziąłem dwa widelce, wbiłem w pieczeń, wyjąłem na deskę i po odkrojeniu dwu grubych plastrów włożyłem z powrotem do garnka. Na pieczeni prawie nie było widać ubytku. Gospodyni spojrzała na mnie dziwnym wzrokiem, uśmiechnęła się i ku mojemu zdziwieniu powiedziała „Danke”. Pewnie myślała, że zabiorę całą pieczeń.

W innym mieszkaniu Jurek zobaczył wiszący w przedpokoju cywilny szary płaszcz jesienny (byliśmy bez odzieży jesiennie-zimowej). Jurek pyta się Niemki, czy mógłby wziąć sobie ten płaszcz, bo nie ma. Niemka zdziwiona powiedziała „Bitte”. Jurek założył płaszcz, ja zgryzłem przekleństwo w zębach. Gdy wyszliśmy, mówię mu: „Czegoś się pytał, o kawałek pieczeni, o płaszcz. Oni brali całe świnie, gospodarki i się nie pytali”, a on z całym spokojem odpowiedział: „Ale my jesteśmy inni”.

W pierwszym okresie zbieraliśmy się przeważnie u mnie. Pani Basia – tak nazywali wszyscy moją żonę (ja się też przyzwyczaiłem) z przynoszonych produktów coś upitrasiała. Było gwarno i wesoło, nieraz głodno, ale z humorem. Jurek miał zawsze a to jakoś nowy kawał, a to dykteryjkę stosowną do chwili. Jednego razu mówi: – Chcecie posłuchać wiersza „Powrót taty” (Szabrownika?) i wyrecytował swój utwór:

*Pójdźcie, dzieci, pójdźcie wszystkie razem
Na dworzec – witać się z tatą
Bo on przyjedzie (obarczony walnie?)
Szabru zdobyczą bogatą.
Poszły więc dzieci, na dworcu czekają
Patrzą, czy tata ich jedzie
Wtem słychać turkot, wagony wpadają
I tata pędzi na przedzie.
Próżna w mieście z was, dzieci, przysługa.
To przyznam – zwiodłem was srodze.
Choć podróż długa i choć wiozłem dużo,
Milicja wszystko zabrała po drodze.*

Taki był Jurek.

Znalazł mieszkanie przy ul. Kos. Gdyńskich 91 na III p. Zamieszkał tam z żoną (też żyrdowianką) Ireną z Manowieckich. Z rodziną Manowieckich od dawnych czasów łączyły nas bardzo bliskie stosunki. Ja w niedługim czasie odszedłem z milicji, a Jurek jeszcze jakiś czas został, a potem przeszedł do pracy w redakcji. Mieściła się ona początkowo przy ul. Hawelańskiej (obecnie zakład fryzjerski), gdzie pracował wspólnie z redaktorem Edmundem Malendowskim.

Ponieważ naczelną dewizą w tamtym czasie było hasło, że „gazeta będzie wtedy dobra gdy będzie miała 500 a nawet 5000 nieetatowych współpracowników, którzy będą pisali o wszystkim, co się w zakładzie albo w terenie dzieje”, jej kierownictwo zaapelowało do aktywu społecznego o pisanie o problemach i osiągnięciach, jak również o tym, co dzieje się w środowisku. Tak powstał korespondenci zakładów, do których na terenie Gorzowa się liczałem.

Wstępną pracę instruktorską prowadził sekretarz redakcji Jerzy Doczyński. Wstępnie oceniał przynieszone materiały, wskazywał na słabe strony artykułów, a gdy były dobre, wysyłał do Zielonej Góry. Ponieważ korespondentów przybywało, utworzony został klub ko-

respondentów, którego siedziba mieściła się przy ul. Łokietka w budynku koło Straży Miejskiej. Klub liczył 50 członków, wyposażenie (krzesła i biurka) zakupiły zakłady pracy, młodzież z ZMP wykonała dekoracje. Klub był miejscem spotkań, narad i szkoleń korespondentów. Byłem pierwszym przewodniczącym klubu.

Duszą i motorem działania, ustalania tematyki pisania był Jurek. Potrafił podpowiedzieć temat, pouczyć jak pisać. To już odległe lata. Czas zaciera w pamięci fakty i daty, ludzi. Pamiętam najaktywniejszych (niektórzy zostali etatowymi pracownikami redakcji) Fedoruk, Stachowski, Białowas, Stanisław Mania, Roman Łazowski (mój brat).

Jednego roku Jurek rzucił hasło: w święto 1 maja w pochodzie korespondenci idą w zwartej kolumnie, z widocznymi atrybutami pisarskimi. W zakładzie, w którym pracowałem (obecny GOMAD), wykonano z drewna potężne ok. 180 cm pióro z blaszaną stalówką (krzyżówką) oraz ładny odpowiedni ołówek. Był to o ile pamiętam rok 1953 lub 4. Na czele kolumny korespondentów na małym, dwukołowym, udekorowanym rowerku (była to sensacja w tamtym czasie) jechał mój syn Andrzej, budząc wielki aplauz. A za nim transparent i po bokach dwóch korespondentów z ogromnym piórem i ołówkiem. Jurek był dumny.

Ja popełniłem trochę artykułów o życiu w zakładzie i jego problemach, osiągnięciach i porażkach, o życiu zawodowym i kulturalnym. Pisałem o akademiach i wycieczkach (jedna do trójmiasta), gdzie opisałem szeroko wrażenia i nastroje uczestników. Zbieranie materiałów do pisania ułatwiał mi fakt, że przez kilka kadencji byłem przewodniczącym rady zakładowej (społecznie) i z tego tytułu uczestniczyłem w naradach, zebraniach i różnych uroczystościach. Zbierane przeze mnie wycinki z gazet (z moimi artykułami wypożyczyłem do opracowania kroniki (na jubileusz zakładu) i przepadły.

Jeździliśmy na narady i szkolenia do redakcji w Zielonej Górze lub KW PZPR dosyć często. Drogę umilali nam swoimi dowcipami Jurek i Stanisław Mania (nieżyjący już). Pracowaliśmy bez zapłaty, nie szczczędząc czasu na zbieranie materiałów, za jedynie słowa podziękowania i uścisk ręki redaktora Jerzego Doczyńskiego, uścisk, który do tej pory czuję.

Piotr Łazowski